

OBŁĘD, NA KRAŃCU ŚWIATA



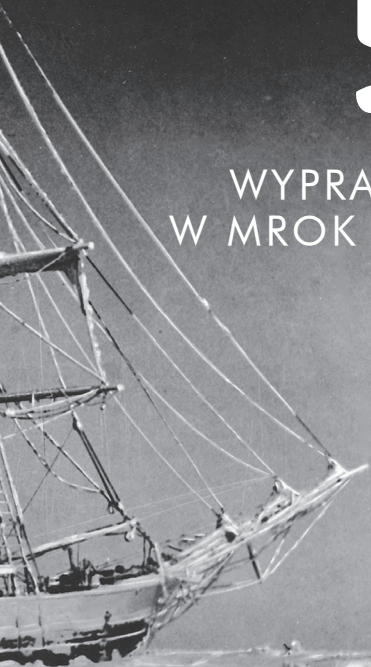
JULIAN SANCTON

OBŁĘD, NA KRAŃCU ŚWIATA

WYPRAWA STATKU BELGICA
W MROK ANTARKTYCZNEJ NOCY

Przełożył
MIŁOSZ URBAN

Media Rodzina



Tytuł oryginału
MADHOUSE AT THE END OF THE EARTH.
THE BELGICA'S JOURNEY INTO THE DARK ANTARCTIC NIGHT

Copyright © 2021 by Julian Sancton. All rights reserved.
Copyright © 2022 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.
Published in agreement with Aevitas Creative Management,
USA c/o Book/lab Literary Agency, Poland
Maps copyright © 2021 by David Lindroth, Inc.
Frontispiece image copyright © De Gerlache Family Collection

Projekt okładki
Elena Giavaldi
Adaptacja okładki, skład i łamanie
Andrzej Komendziński

Fragment *Moby Dicka* Hermana Melville'a
w tłumaczeniu Bronisława Zielińskiego (s. 169).

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-942-6
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk
Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

SPIS TREŚCI

SŁOWO OD TŁUMACZA 7

PROLOG 9

CZĘŚĆ I

Rozdział 1 A DLACZEGO NIE BELGIA? 17

Rozdział 2 ZŁOTO I DIAMENTY 46

Rozdział 3 UKŁONY DLA NEPTUNA 68

Rozdział 4 DECYDUJĄCE CHWILE 87

Rozdział 5 POKONANI PRZED BITWĄ 101

Rozdział 6 OFIARA 114

Rozdział 7 NIEZBADANE ZIEMIE 125

Rozdział 8 NA POŁUDNIE! 150

CZĘŚĆ II

Rozdział 9 W OKOWACH LODU 171

Rozdział 10 OSTATNI ZACHÓD SŁOŃCA 197

Rozdział 11 POGRZEB NAJDALEJ NA POŁUDNIE 214

Rozdział 12 PARADA OBLĄKAŃCÓW 233

Rozdział 13 ZAKON PINGWINA 256

Rozdział 14 OBLĘD 275

Rozdział 15 CIEMNOŚĆ PRZY SŁOŃCU 293

Rozdział 16 CZŁOWIEK PRZECIWKO LODOWI 309

Rozdział 17 OSTATNI WYSILEK 330

Rozdział 18 OBCA TWARZ W LUSTRZE 341

Po BELGICE 350

OD AUTORA 391

PODZIĘKOWANIA 404

WYBRANA BIBLIOGRAFIA 406

INFORMACJA O ŹRÓDŁACH 412

INDEKS 417

O AUTORZE 432

Jess, Maya, Leila (i Suki) – ta książka jest dla Was

Rozdział 2

ZŁOTO I DIAMENTY

PARNEGO WIECZORU DZIEWIĘTNASTEGO SIERPNIA 1897 ROKU goniec Western Union pędził na rowerze ulicami Brooklynu, zwinnie unikając zderzenia z piszczącymi i zgrzytającymi wagonami elektrycznych tramwajów, których ofiarami regularnie padali piesi, co nawet zainspirowało właścicieli lokalnej drużyny bejsbolowej do nazwania jej Brooklyn Trolley Dodgers*. Chłopak miał dostarczyć telegram pod adres Bushwick Avenue 687, do eleganckiej kamienicy w lepszej części miasta.

W środku, w gabinecie, doktor Frederick Albert Cook przyjmował ostatniego tego dnia pacjenta, a następnie zamierzał zasiąść do obiadu. Po latach wysiłków, by zebrać grono stałych klientów, trzydziestodwuletni lekarz w końcu mógł cieszyć się odniesionym sukcesem. W okolicy wszyscy wiedzieli, że doktor na domowe wizyty podjeżdża sportową dorożką ciągniętą przez wspaniałego białego konia. Cook zyskał rozpoznawalność, uczestnicząc jako lekarz w słynnej wyprawie arktycznej i prowadząc działalność charytatywną, co podniosło prestiż jego gabinetu oraz zapewniło mu uznanie wśród pacjentów, bo u niego nawet rutynowe badania miały w sobie posmak przygody.

Cook posiadał wyjątkowy dar nawiązywania kontaktu z pacjentami, zdobywania ich zaufania, ba, miłości wręcz – i być może właśnie dzięki temu uchodziło mu na sucho, że ostatnimi dniami był jakby nieobecny duchem. Jego myśli krążyły wokół miejsc

* Dodgers – od angielskiego czasownika *to dodge* – unikać czegoś, odskakiwać, robić unik (przyp. tłum.).

oddalonych o tysiące kilometrów i szybowały nad lodowymi krajobrazami Antarktyki, o której nigdy nie przestał marzyć. Rozważania te zakradały się nawet do jego zapisków medycznych, gdzie między krótkimi odręcznymi notatkami – traktującymi o uciążliwym kaszlu pana Lurana, otyłości pani Green czy jej nawracających wzdęciach – umieszczał wycinki z gazet o niezdożytym dotychczas biegunie południowym, powstawaniu gór lodowych czy słońcu o północy w czasie polarnego lata. Bieguny Ziemi przyciągały go, jakby reagował na ich magnetyzm. Zamiłowanie do włóczęgi, niemożliwe do zaspokojenia pragnienie przygód i głód sławy nie pozwalały mu cieszyć się komfortowym, miejskim życiem lekarza rodzinnego.

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Kiedy Cook otworzył, gонец Western Union wcisnął mu do ręki bilet do świata jego skrytych marzeń.

To niespokojna natura pozwoliła Frederickowi Cookowi wyrwać się z objęć paraliżującego ubóstwa, jakim naznaczone było jego dzieciństwo. Młodzieńcze losy przyszłego lekarza doskonale wpisują się w historię, na podstawie których powstała legenda o możliwościach, jakie daje Ameryka. Cook urodził się dwa miesiące po zakończeniu wojny secesyjnej, w północnej części stanu Nowy Jork, nieopodal rzeki Delaware, na której przeciwległym brzegu rozciągał się stan Pensylwania. Jego ojciec, emigrant z Niemiec, Theodor A. Koch, w czasie wojny służył jako lekarz, i to wtedy nazwisko rodziny zostało zangielszczone. Frederick w domu rozmawiał z rodzicami po niemiecku. W 1870 roku, po śmierci ojca, który zachorował na zapalenie płuc, matka, Magdalena, tylko przez jakiś czas była w stanie utrzymywać dzieci, odbierając zaległe honoraria męża od jego byłych pacjentów. To źródło dochodów wyschło jednak dość szybko i rodzina z trudem wiazała koniec z końcem. Cook, według własnych słów, dorastał „nie-dożywiony i przeuczony”. Często brakowało jedzenia, a rzadko pojawiający się na stole świstak wydawał się prawdziwym rarytasem.

Matka, zmuszona do podjęcia pracy zarobkowej, przeniosła się z rodziną w dół rzeki, by w końcu zamieszkać na Brooklynie, po czym znalazła zatrudnienie w dzielnicy Williamsburg jako szwaczka w firmie, w której musiała ciężko harować za marne pieniądze. Wynajęła komórkę przy South First Street, w parnej, przemysłowej dzielnicy wyrastającej wzdłuż East River, gdzie powietrze przesączone było wymiotnie słodkawym smrodem z działającej nieopodal rafinerii cukru. Niedługo po przeprowadzce na szkarłatynę zmarł młodszy brat Fredericka.

Cook zaczął zarabiać na siebie w wieku dwunastu lat, mając się najrozmaitszych zajęć. Wszechstronnie rozwinięty chłopak o nosie, którego rozmiary już wtedy zwiastowały przyszłą wielkość, pracował ciężko w blasku magmatycznych płomieni w fabryce szkła i przemierzał ulice jako zapalacz latarni. Wraz z bratem Williamem prowadził później stoisko z owocami i warzywami na targowisku Fulton na Manhattanie. Mimo niehumanitarnych godzin pracy – od drugiej nad ranem do północy – Cook nie porzucił edukacji.

Frederick postanowił iść w ślady ojca, którego ledwie pamiętał, i wybrał szkołę medyczną, przy czym zupełnie nie zraził go fakt, że nie było go stać na czesne. Dzieciństwo spędzone na przedzieraniu się na bosaka przez las w towarzystwie równie dzikich kolegów z hrabstwa Sullivan zahartowało go i uświadomiło, jak niewiele trzeba do przeżycia, a dorastanie na Brooklynie nauczyło go, jak kombinować. Już jako młody chłopak przejawiał talent w rozwiązywaniu problemów i tworzeniu wynalazków; dwie cechy, z których będzie korzystał przez całe dorosłe życie. Za mikre oszczędności zakupił niewielką używaną prasę drukarską, na której drukował plakaty, ulotki, reklamy i pocztówki dla lokalnych sprzedawców. Kiedy jego interes rozkwitł, sprzedał go zaraz, by zdobyć fundusze na kolejny. Za zarobione pieniądze kupił prawa do rozwożenia mleka na obszarze, który od tego momentu obsługiwał do spółki z bratem. Firma The Cook Bros Milk & Cream Company dynamicznie się rozwijała, z czasem obejmując tereny sięgające aż do Rockaway Beach. Cook wykazywał się genialną pomysłowością, co pozwalało jego firmie wyprzedzać konkurencję; kiedy w marcu

1888 roku wielka burza śnieżna przykryła Wschodnie Wybrzeże ponad metrem śniegu, całkowicie paraliżując ruch uliczny Nowego Jorku, Cook z bratem przymocowali płozy do łodzi i zaprzęgli do niej konia, dzięki czemu mogli dostarczać do odbiorców bardzo pożądany w mieście węgiel – i świetnie na tym zarabiać.

W 1887 roku Cook zapisał się do College'u dla Lekarzy i Chirurgów na Uniwersytecie Columbia. Kiedy Columbia przeniosła kampus na Manhattan, został studentem szkoły medycznej Uniwersytetu Nowojorskiego, mieszczącego się wówczas przy Dwudziestej Szóstej Ulicy. Krótsza droga na zajęcia oznaczała oszczędność czasu, co pozwalało mu w nocy rozwozić mleko na Brooklynie, a w dzień się uczyć. Sypiał przy tym bardzo niewiele.

Jakimś sposobem udało mu się znaleźć dość czasu, by rozwinąć znajomość z młodą stenografką Libby Forbes, którą spotkał na festynie wstrzemięźliwości w kościele metodystów w dzielnicy Williamsburg. Ślub odbył się wiosną 1889 roku, a jesienią Libby zaszła w ciążę. Cook miał przed oczyma jasno zaplanowaną przyszłość: za dziewięć miesięcy skończy studia i zostanie ojcem. Chciał sprzedać swój biznes mleczarski i otworzyć prywatny gabinet lekarski. Zwolniłoby gorączkowe tempo jego życia, a rodzina Cooków dałaby się ponieść codzienności tego, co wówczas jeszcze nie było nazywane stylem życia wyższej klasy średniej. Tak to sobie przynajmniej wyobrażał, bo jego dotychczasowe losy nie dawały podstaw do tego, by sądzić, że stateczność i rutyna kiedykolwiek dadzą mu szczęście. Los jednak nie pozwolił mu się o tym przekonać.

Jeszcze to wygodne, dostatnie życie nie znalazło się dobrze na wyciągnięcie ręki, a już zostało mu odebrane. Latem 1890 roku Libby urodziła dziewczynkę, lecz w wyniku komplikacji maleństwo zmarło kilka godzin po porodzie, a tydzień po córce na skutek zapalenia otrzewnej odeszła również Libby. Jedną z rzeczy, które Cook zdążył jej powiedzieć, była wiadomość, że zdał egzaminy.

Zrozpaczony Cook przeniósł się z pracą na drugą stronę rzeki i otworzył praktykę na Manhattanie. Już jako dwudziestopięcioletek

doświadczył żaloby i wyczerpującej pracy, czym można by obdzielić znacznie dłuższe życie, a jednak na jego chłopięcej twarzy próżno było szukać ich piętna. Zapuścił brodę, jak wielu mężczyzn na zakręcie życia i jednocześnie jak wielu młodych lekarzy chcących poważnego traktowania ze strony pacjentów. Mimo nadziei na znalezienie ukojenia w ciężkiej pracy – i mimo robiącego wrażenie zarostu – niewielu było gotowych mu zaufać.

Po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat Cook nie miał co robić. Bezczyenne godziny spędzane w gabinecie jedynie wzmagaly poczucie osamotnienia i niechęć do miejskiego życia. Chłopiec ze wsi – bo nigdy nie przestał nim być – nie polubił Nowego Jorku: „był brudny i mokry, kiedy padał śnieg, a latem duszny, gorący i śmierdzący” – zapisał w dzienniku – a od śmierci żony jeszcze trudniej było mu znieść to miasto. Do późna w nocy zaczytywał się w opowieściach o odległych zakątkach globu; miejscach daleko gorętszych i znacznie zimniejszych niż Nowy Jork. Wyjątkowo pociągały go relacje podróżników, takich jak Elisha Kent Kane, amerykański awanturnik i lekarz, który w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku przeżył dwie mordercze zimy na pokładzie statku uwięzionego w arktycznych lodach, czy Henry Morton Stanley, oszust pochodzenia walijsko-amerykańskiego, który w imieniu belgijskiego króla Leopolda II eksplorował większość Afryki Środkowej.

Wyprawy Stanleya i wiele słynnych ekspedycji polarnych opisywane były obszernie przez „New York Herald”, gazetę, którą Cook namiętnie się zaczytywał. Zaczęła kielkować w nim chęć podróży w nieznane. „Mając dość czasu na myślenie i planowanie, zapragnąłem wyrwać się z tego miejsca i ruszyć w niezbadane rejony, by przecierać szlaki życia pełnego pożytecznych przygód” – zapisał.

Wczesną wiosną 1891 roku Cook trafił w „Heraldzie” na krótki artykuł napisany w Filadelfii, który nadał jego życiu kierunek – w stronę biegunów. Inżynier morski Robert E. Peary planował wyprawę za koło podbiegunowe, by odkryć północne granice Grenlandii, i szukał ochotników chcących wziąć w niej udział. Frederick wysłał zgłoszenie i już kilka dni później spotkał się

w Filadelfii z organizatorem ekspedycji. Cook przez całe życie nie podróżował daleko poza granice Nowego Jorku, a jego skromne lekarskie doświadczenie nie obejmowało też wielu sytuacji mających przełożenie na brutalne, niemal frontowe warunki wyprawy polarnej. Ale znał ludzi, wiedział, co chcą słyszeć, i jeśli sam czegoś bardzo pragnął, zazwyczaj znajdował sposób, by to osiągnąć. Peary wyczuł drżącą w nim pasję, jego hardość i odwagę. Kiedy więc Cook wracał na Brooklyn, miał już zapewnioną posadę chirurga w obsadzie wyprawy.

Zespół zgromadzony przez Peary'ego składał się z niego samego, Cooka, czterech marynarzy i żony kapitana. Josephine należała do grona bardzo nielicznych kobiet biorących udział we wcześniejszych wyprawach na tereny podbiegunowe. Z początkiem lipca na pokładzie Kite'a, barkentyny z silnikiem parowym, która najlepsze czasy miała już za sobą, dotarli do siedemdziesiątego szóstego stopnia szerokości geograficznej północnej, do Zatoki Melville'a w północno-zachodniej części Grenlandii. Cook przekonał się o bezwzględności natury Arktyki, jeszcze zanim miał szansę zejść ze statku: jedenastego lipca, kiedy Kite przeciskał się między krami gromadzącymi się wzdłuż wybrzeża, do uszu lekarza dobiegł przeraźliwy krzyk z okolic mostka. Okazało się, że kawał lodu zablokował ster statku i szarpnął nim tak silnie, że żelazny rumpel trafił kapitana w nogę i łamiąc kości, przycisnął go do pokładu. Cook nastawił złamania, po czym na oczekaniu skonstruował łupki i kule dla Peary'ego. Towarzysze z wyprawy we wspomnieniach wielokrotnie opisywali nieposkromioną wyobraźnię doktora i jego umiejętność nieszablonowego rozwiązywania problemów. „Doktor Cook” – pisał później młody norweski poszukiwacz przygód Eivind Astrup, jedyny obcokrajowiec pośród Amerykanów biorących udział w ekspedycji – „miał niesamowity talent tworzenia dobrych i przydatnych przedmiotów z niespodziewanych materiałów”.

Wyprawa postawiła obóz na szczycie skalistego wzniesienia nad Zatoką McCormicka. Przez sześć miesięcy, których potrzebowała noga Peary'ego na zrośnięcie się, Cook był odpowiedzialny za

kontakty z Inuitami zamieszkującymi okoliczne tereny. Członkowie ekspedycji nie tylko polegali na ich znajomości regionu, ale też mieli nadzieję na nawiązanie z nimi handlu wymiennego, dzięki któremu mogliby zdobyć świeże mięso, psy pociągowe, futra, buty i inne przydatne rzeczy. Doktor, choć nigdy nie przejawiał talentu do nauki obcych języków, lokalne narzecza szybko opanował w stopniu pozwalającym na porozumiewanie się, choć i tak musiał wspomagać się gestami i swoją naturalną charyzmą.

W trakcie wyprawy Cook był nie tylko lekarzem, ale także etnologiem. W ramach swoich zadań fotografował miejscowych, kobiety i mężczyzn, całkowicie nagich, i dokonywał pomiarów ich ciał. Ta uprzedmiotawiająca praktyka wówczas, w czasach rodzącej się dopiero antropologii, nie budziła kontrowersji. Jego ciekawość i empatia sięgały jednak znacznie głębiej.

Okoliczni Inuici zaczęli traktować Cooka jak kogoś w rodzaju *angakoka* czy szamana. „Od czasu do czasu” – wspominał później lekarz – „nadarzała się okazja, by przeprowadzić jakiś zabieg czy podać lekarstwo, co się Eskimosom bardzo podobało i przez co zaczęto przypisywać mi nadnaturalne moce”. Dzięki temu miejscowi pozwalali mu uczestniczyć w swoich rytuałach. Jadał z nimi mięso focze i z karibu, a potem słuchał historii, które opowiadali. Obserwował ich pogłębiające się przygnębienie w czasie wielomiesięcznej zimowej nocy i to, jak wraz z powrotem słońca odzyskują chęć do życia. Fascynowały go animistyczne wierzenia Inuitów, a przynajmniej to, co potrafił z nich zrozumieć: że w świetle drzemą boskie moce, ludzkie dusze zamieszkują ich cienie, a znikające okresowo słońce pociąga za sobą coś na kształt zaniknięcia ducha. Z czasem zaczął postrzegać te założenia jako coś więcej niż tylko lokalny folklor*.

* Opisy wierzeń inuickich stworzone przez Cooka z powodów oczywistych są niekompletne i nieprecyzyjne. Nie posiadał on wykształcenia w dziedzinie antropologii – która wówczas nie miała jeszcze swojego stałego miejsca w nauce akademickiej – a na dodatek ograniczała go szczątkowa znajomość języka. Mimo to są wartościowe ze względu na to, że mówią o tym, co Cook sam wyniósł z doświadczenia życia między Inuitami.

Pewnej nocy w lutym 1892 roku Cook doświadczył sytuacji z rodzaju tych, które na zawsze zmieniają podejście człowieka do śmiertelności. Po wspinacze na mocno wyniesiony płaskowyż, skąd Cook, Astrup i Peary (do tego momentu kości w jego nodze już się zrosły) mieli nadzieję powitać powracające po długiej nieobecności słońce, wznieśli oni prowizoryczne, koślawe igloo, by schronić się w nim przed gwałtowną zamiecią śnieżną. Wśliznęli się do śpiworów ze skór reniferów i we względnej wygodzie zapadli w sen. Nad ranem brutalny wiatr porwał dach ich schronienia – płaski, sklecony jedynie z nart złożonych niczym belki stropowe, a nie w kształcie kopuły, na podobieństwo śnieżnych domów Inuitów – przez co cała trójka obudziła się zasypana grubą warstwą śniegu.

Cookowi i Peary'emu udało się uwolnić. Spanikowani zaczęli rozkopywać zasną, która całkowicie przykryła Astrupa, starając się utrzymać drożny otwór, by miał czym oddychać. Pracowali najpierw rękoma, a potem znaleźli łopatę. Następnie, żeby ochronić się przed porywami huraganowego wiatru, trójka mężczyzn skryła się za ocalałą ścianą igloo. Kucali na mrozie, ubrani w samą bieliznę, bo buty i wierzchnie odzienie zaginęły pod ponad metrową warstwą śniegu. Jedyne, co im pozostało, to przeczekać burzę śnieżną bez żadnej ochrony poza przemoczonymi śpiworami. Chronili się przed wiatrem jeszcze przez pół dnia, w każdej minucie biczowani siekącym śniegiem, przed którym nie było już ucieczki.

Peary, Cook i Astrup trwali zawieszeni między snem a przytomnością, a śnieg stopniowo przeszedł w grad i zamarzający deszcz. Co pewien czas rozlegał się krzyk, kiedy Peary przypominał towarzyszom, by poruszali się i zmieniali pozycję, co miało uchronić ich przed zamarznięciem. Po jakimś czasie chmury się rozstały, na niebie zaświecił księżyc i przestał padać śnieg, jednak silny wiatr dalej smagał płaskowyż. Gwałtownie spadła temperatura, a Cook powoli tracił czucie w członkach. W końcu dostał dreszczy, których nie mógł opanować. Jego śpiwór pokrył lód. Lekarz nie mógł zmieniać pozycji, co potęgowało poczucie zimna. Peary wykopał wtedy w śniegu podłużny dół kształtem

przypominający mogiłę, wturlał do niego Cooka, uprzednio wykuwszy go z lodowego więzienia, i położył się na wierzchu, by ochronić zmarzniętego towarzysza przed powiewami wiatru. Cook nie pamiętał, co czuł, leżąc sparaliżowany chłodem, pod Pearym; czy był zdjęty strachem, zobojętniały czy może pozostawał w szoku. Trudno jednak wyobrazić sobie, by nie zastanawiał się, czy jego pierwsza polarna przygoda nie okaże się zarazem ostatnią. Kiedy burza ucichła, a on odzyskał czucie w ramionach i nogach, uświadomił sobie, że przeszedł właśnie chrzest polarny. Doświadczenie to wywarło na nim ogromne wrażenie i uświadomiło niepokohamowaną siłę lodu i śniegu, a także łatwość, z jaką na terenach podbiegunowych można pożegnać się z życiem.

Wyprawa Peary'ego była dla Cooka szkołą, dzięki której został podróżnikiem. Przetrwał morderczą arktyczną zimę. Od towarzyszy nauczył się wielu pożytecznych rzeczy, w tym jazdy na nartach, strzelania, wspinaczki po lodowych i śnieżnych urwiskach po wyłupanych siekierką stopniach. Prawdopodobnie jeszcze więcej cennej wiedzy dał mu czas, który spędził pośród Inuitów. To dzięki nim posiadał nie tylko wiele praktycznych umiejętności, od których w przyszłości nieraz miało zależeć jego życie – jak kierowanie psim zaprzęgiem, prawidłowe techniki budowy igloo czy wyprawiania skór – ale też ogromną pokorę wobec sił natury.

„W czasie naszej krótkiej znajomości z miejscową rdzenną ludnością nauczyliśmy się odrzucać cywilizowaną inteligencję, by zrobić miejsce dla użytecznej perspektywy dzikich mieszkańców tych terenów” – pisał Cook. – „Dla kogoś, kto ma przeżyć w Arktyce, im szybciej pozbędzie się swoich nawyków i zacznie naśladować miejscowych, tym lepiej”.

Przypisując Cookowi „niemalże całkowite uchronienie wyprawy przed jakimikolwiek chorobami”, Peary zaprosił go do uczestnictwa w swojej kolejnej ekspedycji, oferując nie tylko stanowisko lekarza, ale i swego zastępcy. Cook początkowo przyjął propozycję, lecz kiedy Peary odmówił mu zgody na zamieszczenie obserwacji i zdjęć Inuitów w prasie naukowej, tłumacząc to przyjętą konwencją, zgodnie z którą publikacja jakichkolwiek odkryć

i materiałów zgromadzonych w czasie ekspedycji jest prerogatywą dowódcy, Cook zrezygnował z dalszej współpracy. Nie chciał pozostać w cieniu innego odkrywcy, więc ich drogi się rozeszły – jak na razie w pokojowej atmosferze.

Po powrocie do Brooklynu i otwarciu nowego gabinetu, Cook zorientował się, że pojawienie się jego nazwiska w prasie miało zbawienny wpływ na interesy. Jednak mimo kolejek pacjentów czekających na przyjęcie w nowej lokalizacji przy Rutledge Street, nie mógł przestać marzyć o odległych szerokościach geograficznych. Grenlandia go zmieniła. Tęsknił za arktycznym powietrzem i za bezkresnymi polami bieli, przy których największe miasto Stanów Zjednoczonych wydawało się maleńkie. Być może najbardziej uzależniającą była świadomość, że udało mu się oszukać śmierć. Nie miał wyboru: musiał wrócić tam, gdzie był lód.

Cook zaczął planować organizację własnej ekspedycji polarnej. Swoją uwagę skupił na wówczas jeszcze bardzo słabo zbadanej Antarktyce, po części dlatego, że chciał uniknąć konkurencji z Pearym w eksploracji Arktyki, a po części dzięki nieograniczonym możliwościom w badaniu południowych krańców Ziemi, które wcześniej skusiły Adriena de Gerlache'a.

Uważał, że zastosowanie inuickich sposobów przemieszczania się i ubioru wydatnie zwiększy szanse jego wyprawy na powodzenie w Antarktyce. Jednak zanim obwieścił światu swoje plany, chciał wrócić na terytoria zamieszkane przez Inuitów, by pozyskać psy zaprzęgowe i ubrania z futer, a także by dokończyć swoją pracę badawczą dotyczącą „arktycznych górali”, jak wielu nazywało tamtejsze rdzenne ludy. W tym celu, a także w ramach gromadzenia funduszy na własną wyprawę antarktyczną, Cook zorganizował wycieczkę na Grenlandię, w której odpłatny udział zaoferował kilku klientom. Większość kosztów została szczerze sfinansowana przez majątnego profesora z Yale, którego zafascynowany wyprawami na biegun syn usłyszał na uniwersytecie, jak Cook opowiada o swoich arktycznych przygodach, i sam zapragnął na własne oczy zobaczyć bezkresne północne pustkowia.

Latem 1893 roku Cook wynajął siedemdziesięcioośmiostopowy szkuner o nazwie Zeta i wziął swoich bogatych klientów na wyprawę na Labrador i zachodnią Grenlandię. Na Brooklynie wrócił z początkiem października, przywożąc piętnaście grenlandzkich psów, kilka skrzyń futer i dwójkę inuickich nastolatków, Kahlahkatak i Mikoka, których nazywał Clarą i Williem. Piękną Kahlahkatak zobaczył w placówce handlowej w Rigolet na Labradorze, kiedy wykonywała powabny tradycyjny taniec, i momentalnie wyobraził sobie, jaką sensację by wywołała w Stanach Zjednoczonych. Lekarz przekonał ojca dziewczyny, by pozwolił mu zabrać ją i jej brata Mikoka do Nowego Jorku, i zobowiązał się, że następnego lata dostarczy tę dwójkę z powrotem. Oni mieli zyskać możliwość zobaczenia wielkiego miasta, a on mógłby pokazywać ich na wykładach i odczytach jako żywe eksponaty.

Inuickie dzieci zamieszkały w namiocie rozbitym w ogrodzie dawnego domu doktora Cooka przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy na Manhattanie, który obecnie zajmowała jego matka. Lekarz przyciągał prawdziwe tłumy, ilekroć przechadzał się przez miasto w towarzystwie dwójki Inuitów i sfory dyszących husky. Psy zgłosił na wystawę Klubu Kynologicznego Hrabstwa Westchester, gdzie zdobyły trzy nagrody. Jednak zwierzęta bardzo ciężko znosiły lato w mieście; mimo że Cook kazał je przystrzyc, kilka padło z przegrzania. Pozostałe wysłał więc do brata na farmę w hrabstwie Sullivan, gdzie, miał nadzieję, uda się je rozmnożyć. Willie i Clara również nie byli zachwyceni gorącym Nowym Jorkiem i oboje uważali lody za najgorsze paskudztwo. Zimą za to narzekali na chłód. Cook pomógł im zbudować igloo.

Licząc na to, że wykłady i odczyty pomogą zgromadzić pieniądze na projekt wyprawy antarktycznej, Cook zatrudnił ekstrawaganckiego promotora majora J.B. Ponda, który wcześniej organizował tournée dla Peary'ego, Stanleya, P.T. Barnuma, Marka Twaina i młodego Winstona Churchilla (ten ostatni miał zrezygnować z jego usług, nazywając Ponda „wulgarnym jankeskim impresariem”). Doktor Cook okazał się mieć naturalny talent do

wystąpień publicznych i doskonale umiał wyczuć, co rozpali wyobraźnię tłumu.

„Doktor Cook miał złykę do skupiania na sobie uwagi publiczności” – wspominał później właściciel nowojorskiego centrum rozrywkowego, gdzie Cook przez cztery tygodnie wygłaszał swoje odczyty i gdzie, mniej więcej w podobnym czasie, występował również Harry Houdini. Wzbogacona oprawą antropologicznego wykładu prezentacja arktycznej wyprawy Cooka – bywały dni, że występował z nią dziewięć razy – nie była otwarcie obliczona na wzbudzanie sensacji, lecz czerpała z wyzysku równie mocno jak pokazy Buffalo Billa, oparte na pokazywaniu rdzennych mieszkańców Ameryki, czy Barnuma, który pobierał pieniądze za popis kobiety z brodą. Lekarz wkładał futrzany strój polarny i opowiadał o przygodach w Arktyce, dowolnie upiększając swoje doświadczenia. W towarzystwie Kahlahkatak i Mikoka opisywał straszną, wielomiesięczną zimową noc oraz egzotyczne praktyki Inuitów z północnej Grenlandii (z którymi Kahlahkatak i Mikok nie mieli wiele wspólnego, jako że pochodzili ze stosunkowo bliższej zachodnim zwyczajom osady sporo poniżej koła podbiegunowego; ani Cook, ani Pond nie uważali jednak, by miało to jakieś znaczenie).

W drugiej zaś połowie prezentacji roztaczał przed słuchaczami wizję planowanej wyprawy antarktycznej. Ekspedycja, o której marzył, nie różniła się co do zasady od tej, którą planował de Gerlache, ale też Cook nie zamierzał z nią konkurować. W 1894 roku przesłał do Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego propozycję, w której napisał, że gdy Arktyka została już w dużej mierze odkryta i zbadana, „tereny wokół bieguna południowego wydają się zaniedbywane, jako że wciąż niewiele wiadomo o Antarktyce”. Podobnie jak belgijski oficer (o którym dopiero miał usłyszeć), Cook planował wyruszyć w podróż na pokładzie statku wielorybniczego napędzanego silnikiem parowym, „przygotowanego i wyposażonego specjalnie do działania na wodach skuwanych lodem”, i przez cały czas trwania ekspedycji dokonywać pomiarów i obserwacji naukowych.

Plany de Gerlache'a i Cooka różniły się tym szczególnie, że lekarz miał ambicję zostać pierwszym człowiekiem, który przeziemuje na tym kontynencie, a następnego lata, dzięki psim zaprzęgom, posunie się tak daleko na południe, jak to tylko możliwe – być może nawet aż w okolice bieguna geograficznego. Zamiary de Gerlache'a i Cooka różniło zasadniczo coś jeszcze: ponieważ Cook na własnej skórze doświadczył okrucieństwa polarnej zimy, rozumiał konieczność przygotowania swoich ludzi do pożerającego duszę i przeciągającego się w nieskończoność mroku. „Kiedy słońce niknie” – pisał w liście do towarzystwa – „wszelkie prace badawcze w terenie muszą ustać, a ich miejsce zajmą systematyczne ćwiczenia dla ciała i umysłu”.

Doktor Cook koszty ekspedycji oszacował na 50 000 dolarów, co w przeliczeniu dawało niewiele niższą kwotę niż budżet zaplanowany przez de Gerlache'a. „Pieniądze te planuję zgromadzić w ramach darowizn od osób prywatnych i towarzystw naukowych” – pisał. – „Większość kwoty mam już zabezpieczoną w promesach, a część zamierzam zebrać poprzez cykl wykładów”.

W rzeczywistości nie miał żadnych gwarancji od prywatnych darczyńców. Mimo to, przekonany o ostatecznym powodzeniu, doktor Cook zamówił papeterię oznaczoną: „Oficjalne Biuro Amerykańskiej Ekspedycji Antarktycznej, dr Frederick Cook, dowódca”. I choć wykłady nie przynosiły zysków, które pozwoliłyby zakupić statek, nie wspominając o zatrudnieniu i wyposażeniu załogi, wywoływały takie zainteresowanie i rozgłos, że lekarz postanowił przygotować kolejną wycieczkę na Grenlandię, która, w zamierzeniu, miała przynieść blisko 50 000 dolarów zysku, potrzebnych do realizacji antarktycznego planu.

Cook reklamował swoją wycieczkę obietnicą polowań na niedźwiedzie polarne, poznawania Inuitów i ich zwyczajów oraz gromadzenia wiedzy na temat historii Grenlandii. Kwota, jakiej oczekiwał za bilet, wynosiła pół tysiąca dolarów. Mimo to w dość krótkim czasie Cook sprzedał pięćdziesiąt dwa bilety, z czego większość studentom i wykładowcom elitarnych uniwersytetów. Wycieczka miała również umożliwić lekarzowi odwieszenie

Kahlahkatak i Mikoka do domu, razem z kilkoma innymi Inuitami z Labradoru, którzy utknęli w Stanach Zjednoczonych po Wystawie Światowej w Chicago w 1893 roku, gdzie byli żywymi eksponatami.

Żeby zmieścić tak okazałą grupę podróżników, Cook wynajął dwustudziestoparowiec o stalowym kadłubie o nazwie *Miranda*, lekceważąc pogłoski, jakoby statek ten był przeklęty, czego dowodem miały być częste zderzenia ze skałami i innymi jednostkami. Niestety, wyprawa Cooka potwierdziła złą reputację jednostki. Siedemnastego lipca 1894 roku, niedaleko wybrzeży Nowej Funlandii, pasażerowie usłyszeli głośny metaliczny hałas, który niektórzy wzięli za eksplozję, a zaraz potem rozległ się przeciągły zgrzyt trącego o coś metalu. Okazało się, że *Miranda* miała kolizję z potężną górą lodową. Uderzenie pozostawiło pokaźne wgniecenie w prawej burcie i zasypało pokład i mostek bryłami odłupanego lodu. Ledwie trzy tygodnie później, po przekroczeniu Morza Labradorskiego w kierunku Grenlandii, *Miranda* wpłynęła na rafę z takim impetem, że częściowo wynurzyła się z wody i niebezpiecznie przechyliła na bok. Na pokładzie wybuchła panika. „Zdaje się, że sprawdzaliśmy głębokość wody pod kilem” – poinformował Cooka jeden z marynarzy.

Uszkodzenia były znacznie gorsze niż po pierwszej kolizji: *Miranda* nabierała wody, a jej stan nie pozwalał kontynuować podróży z pasażerami na pokładzie. Z opanowaniem, które zaskarbiło mu zachwyty Peary'ego, Cook w towarzystwie niewielkiej grupy pasażerów i marynarzy wyruszył w otwartej łodzi wiosłowej wzdłuż smaganego wiatrami wybrzeża Grenlandii i pokonał sto mil, szukając jednostki, która mogłaby zaoferować rozbitkom z *Mirandy* transport do jakiegoś większego portu. W końcu jeden z inuickich przewodników Cooka dostrzegł szkuner rybacki *Rigel*, którego portem macierzystym był Gloucester w Massachusetts. Kapitan zgodził się skrócić połów, by pomóc swoim rodakom w potrzebie – w zamian za cztery tysiące dolarów i część z tego, co uda się uratować z rozbitej *Mirandy*. Cook nie miał wyboru i przystał na jego warunki. Coraz wyraźniej rozumiał, że wyprawa

zamiast przynieść zysk, wygeneruje jedynie koszty i oddali realizację marzeń o biegunie południowym. Lekarz i jego klienci dotarli do Halifaksu, gdzie weszli na pokład Portii, która okazała się jednostką bliźniaczą Mirandy, równie pechową jak ona. Rankiem dziesiątego września, niedaleko Cuttyhunk Light w stanie Massachusetts, Portia uderzyła centralnie w burtę szkunera Dora M. French, rozpoławiając go. Trzech marynarzy zaplątanych w liny nie zdążyło uwolnić się z wraku i razem z nim spoczęli na dnie.

Po powrocie z wyprawy, rozmawiając z dziennikarzami w ogrodzie swego domu na Brooklynie, Cook starał się bagatelizować jej niepowodzenie. Ba, próbował nawet przedstawiać ją w kategoriach sukcesu: „wspaniała wycieczka, pełna ciekawych przygód, czasem wręcz niebezpiecznych, a jednak żaden z członków załogi czy pasażerów nie zgłaszał zastrzeżeń”. Przy czym przynajmniej ostatnie słowa z jego opisu były wierutnym kłamstwem, bo od pierwszej kolizji z górą lodową Cook musiał mierzyć się z ustawicznie pojawiającymi się skargami. Niewielu wprawdzie o to, co się stało, obwiniąło go osobiście, jednak katastrofa Mirandy ciągnęła się za nim jak nieprzyjemny zapach, psując mu reputację i utrudniając, jeśli w ogóle nie uniemożliwiając, gromadzenie funduszy na antarktyczną ekspedycję.

Cook zwiększył wysiłki, by rozreklamować swoje polarne plany, stosując propagandę sukcesu, by pokonać przeciwności losu. W desperackim ruchu okroił o połowę zakładany budżet wyprawy: od tej chwili szacował, że jej koszt nie powinien przekroczyć dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, zamiast pięćdziesięciu tysięcy, o których mówił wcześniej. Pod wpływem swego impresaria, teatralnego w zachowaniu J.B. Ponda, Cook dramatycznie podniósł poprzeczkę obietnic, zbliżając się do poziomu Barnuma. Sugerował możliwość wybuchu nowej, polarnej gorączki złota, podobnej do kalifornijskiej bonanzy z końca lat czterdziestych dziewiętnastego wieku: „Nie możemy z całą pewnością powiedzieć, że Antarktyda nie skrywa złota i diamentów, jak Afryka” – tłumaczył doktor, jak donosił później dziennikarz „New York Timesa”. Cook wskazywał wręcz na możliwość odkrycia przez wyprawę zupełnie

nowej, nieznanej wcześniej cywilizacji. Opierał się przy tym na tajemniczym wpisie w dzienniku norweskiego kapitana Carla Antona Larsena, który w czasie wyprawy wielorybniczej w pobliże Półwyspu Antarktycznego w 1893 roku mówił o odkryciu około pięćdziesięciu „kul zbudowanych z mieszaniny cementu i piasku, ustawionych na kolumnach z tego samego materiału, wyglądających na dzieło ludzkich rąk”. Kule zabrane przez Larsena, jak sam przynajmniej twierdził, zostały zniszczone w pożarze, co dla sceptyków jawiło się aż zbyt wielkim zbiegiem okoliczności, jednak Cook wołał twierdzić, że bez dowodów nie można zarzucić Larsenowi kłamstwa.

„To pierwszy dowód na obecność człowieka na Antarktydzie” – wyjaśniał Cook dźwięcznym tenorem, podnosząc głos z końcem każdego zdania. „W moim odczuciu ludzkie osadnictwo na wybrzeżach Antarktydy nie jest niemożliwe, więc tym bardziej nie wykluczam natrafienia na odizolowane plemię, które żywność i odzienie pozyskuje z tamtejszej obfitości morza”.

I choć Cook nieodmiennie bawił i wzbudzał zainteresowanie publiczności, przedstawiciele finansjery nie chcieli sięgnąć do kieszeni – a przynajmniej nie chcieli tego robić pierwsi. Mijały miesiące, a jedyne oferty, jakie docierały do Cooka, pochodziły od szaleńców i marzycieli, takich jak brazylijski wynalazca, który twierdził, że skonstruował maszynę w kształcie ptaka, która mogła szybować nad lodem, rozpędzając się do prawie dwustu kilometrów na godzinę.

Im więcej mijało czasu, w którym Cook pozostawał bez poważnego inwestora, tym mniej wykonalne wydawały się plany młodego lekarza. Jego antarktyczne marzenie rozsypywało się powoli, kalecząc jego serce i duszę. Na początku 1897 roku Cook podjął ostatnią próbę zdobycia sponsora, który pokryłby wszystkie koszty ekspedycji. Podobnie jak wielokrotnie wcześniej Cook i tym razem postanowił myśleć nieszablonowo: uznał, że nie ma sensu poświęcać czasu na potencjalnych inwestorów posiadających jakieś pieniądze, skoro może udać się bezpośrednio do najmajętniejszego z nich. Właściwą osobą wydał mu się Andrew Carnegie,

sześćdziesięcioletni magnat stalowy z Pittsburgha, który zdobył światowy rozgłos. I jakimś cudem Cookowi udało się umówić z nim na spotkanie.

Carnegie przyjął lekarza w Union League Club na Manhattanie, wspaniałym pałacu otoczonym kolumnadą, na narożniku Piątej Alei i Trzydziestej Dziewiątej Ulicy, będącym ucieleśnieniem ekscesów połączanego wieku. Kiedy Carnegie usiadł wygodnie w fotelu i zaczął słuchać propozycji Cooka, na jego okoloną brodą twarz padało kolorowe światło sączące się przez kunsztowne witraże zaprojektowane przez Louisa C. Tiffany'ego, a jego początkowo oficjalny wyraz twarzy powoli złagodniał. Cook był zaskoczony, widząc szczery entuzjazm w oczach biznesmena, który słynął z bezwzględności w interesach i pogoni za zyskiem. Być może ten szkocki imigrant, sam niegdyś bez grosza przy duszy, dostrzegł, jak bardzo są z Cookiem podobni: dzieci Europy, które odkryły, że Ameryka niczym nie ogranicza ich ambicji. Uprzejma rozmowa o ekspedycji polarnej trwała nieco ponad godzinę, po czym Carnegie wstał, uściśnął dłoń lekarza i powiedział: „Doktorze, chciałbym zgłębić pańskie lodowe interesy. Jaki kolor może mi pan zaoferować z zamian za mój złoty? Do zobaczenia w poniedziałek, ewentualnie może pan do mnie napisać”.

Carnegie wzywał Cooka, by naświetlił mu, w jaki sposób ekspedycja na południowe krańce Ziemi mogłaby przełożyć się na zysk, co oznaczało, że nie przekonały go wzmianki młodego medyka na temat potencjalnej gorączki złota. W czasie kolejnego spotkania usiedli w narożniku pełnej przepychu sali klubu na Manhattanie, gdzie powietrze przesycone było dymem z drogich cygar. Cook wiedział, że to nie miejsce na grzeczności i że tym razem nie może polegać na swojej charyzmie i snutych opowieściach, dlatego przygotował szczegółowe wyjaśnienie proponowanego programu naukowego wyprawy i wynikających z niego konkretnych zysków. Mówił „jasno i rzeczowo”, jak później zapisał we wspomnieniach ze spotkania. Jego prezentacja zdawała się trafiać do magnata stalowego, lecz akurat kiedy doktor Cook dotarł do najważniejszej części, do Carnegiego podszedł znajomy członek klubu

i „niegrzecznie przerwał coś, co zmierzało w kierunku uściśnięcia sobie dłoni”. Zanim Cook odzyskał uwagę Carnegiego, moment minął i nie udało się odbudować atmosfery.

Potentat wstał i odprowadził Cooka do schodów.

– Tak wiele jest jeszcze do osiągnięcia w bliższym nam świecie – powiedział. – Ledwie trzy mile nad nami znajdziemy cały lód, jaki jest nam potrzebny. Niech pan wymyśli sposób, jak go tu sprowadzić.

Cook był załamany. Dopiero teraz zrozumiał, że kiedy Carnegie mówił pod koniec pierwszego spotkania o „lodowych interesach”, zupełnie poważnie miał na myśli interes zrobiony na lodzie, a więc możliwość pozyskiwania lodu z lodowców Antarktydy w tak prozaicznym celu jak chłodzenie i przyrządzanie drinków!

Odmowa magnata przypieczętowała los Amerykańskiej Ekspedycji Antarktycznej. Cook w końcu uznał swoją porażkę i zniechęcony wrócił do szanowanego, choć znacznie mniej ekscytującego życia lekarza. Los, odbierając możliwość zobaczenia Antarktydy, dawał mu szansę, by kiedyś z radością wspominał polarne eskapady jako przygody młodości. Tymczasem wrócił do domu prowadzonego przez matkę zmarłej żony, która zamieszkała w nim z dwiema pozostałymi córkami, nauczycielkami z zawodu. Cook zaczął adorować młodszą z nich, Annę Forbes, i dość szybko doszło do zaręczyn.

Mimo prowadzenia praktyki lekarskiej nadal czytał każdą dostępną książkę i każdy pojawiający się artykuł na temat Antarktydy. Jego fascynacja tym skutym lodem kontynentem ponownie rosła od chwili, kiedy Międzynarodowy Kongres Geograficzny w 1895 roku wezwał do niezwłocznej eksploracji tych terenów. Bolało go, kiedy dowiadywał się o kolejnych pretendencjach do czegoś, co w głębi duszy cały czas uważał za trofeum, które należało się właśnie jemu. W głębi duszy cieszył się też ich porażkami.

Okazało się jednak, że nie wszyscy odpadli z tego wyścigu: przeglądając „New York Sun” z szóstego sierpnia 1897 roku, zatrzymał wzrok na notce traktującej o zbliżającym się początku wyprawy antarktycznej z – że też akurat stamtąd! – Belgii.

Wiadomość wypełniła lekarza obezwładniającą mieszaniną zazdrości i ekscytacji. Kapitan Adrien de Gerlache, kimkolwiek był, dokonał tego, na czym Cook poległ. A jednak sam fakt, że z jednego z portów miała wyruszyć w kierunku Antarktydy duża i poważna wyprawa naukowa, wzbudziła w młodym medyku nieoczekiwaną radość.

Autor notki nie wspominał o trudnościach, jakie de Gerlache napotkał, poszukując lekarza pokładowego i innych członków załogi. W głowie Cooka – zawsze otwartej i podświadomie szukającej nowych możliwości – informacja ta i tak jawiła się jako zaproszenie. Wcześniej sam miał poprowadzić taką wyprawę, a nie jedynie w niej uczestniczyć, tym bardziej pod dowództwem jakiegoś nieznanego kapitana, a już w ogóle nie w przedsięwzięciu, które miałoby przynieść zaszczyty i sławę jakiegokolwiek innemu narodowi niż Amerykanom. A jednak szansa na wzięcie udziału w takich ekspedycjach jako odkrywca pojawiała się zbyt rzadko, by mógł ją przepuścić – a poświęcając się rodzinnemu życiu, przestałby ją pewnie brać na poważnie.

I tak szóstego sierpnia Cook wysłał telegram do de Gerlache'a, informując o chęci uczestnictwa w jego wyprawie. Zobowiązał się przy tym do pokrycia kosztów swojego udziału i przywiezienia psów pociągowych z Grenlandii, które nadal posiadał

Kilka dni później nadeszła odpowiedź od kapitana: z wielkim żalem musiał odrzucić jego hojną propozycję, jako że wszystkie pryncze na Belgice były już zajęte.

Dziewiętnastego sierpnia Cook wciąż jeszcze odczuwał piekący policzek, jakim była dla niego odmowa de Gerlache'a, lecz tego dnia wieczorem rozległo się pukanie do drzwi, a w progu stanął zdyszany goniec Western Union z zaadresowanym do doktora telegramem nadanym w Ostendzie.

POUVEZ REJOINDRE MONTEVIDEO, MAIS N'HIVERNEREZ PAS — CDT DE GERLACHE

Przeczcucie podpowiadało Cookowi, że to dobra wiadomość – bo z jakiego innego powodu de Gerlache miałby do niego ponownie pisać? – jednak nie znając francuskiego, tym bardziej w formie skrótowej, stosowanej przy nadawaniu telegramów, nie mógł mieć pewności, czy dobrze odgadł treść informacji. Około północy, z otrzymaną właśnie karteczką w dłoni, wsiadł do elektrycznego tramwaju i udał się przez most Brookliński na Manhattan, do biur zajmowanych przez „New York Sun”, by skorzystać z pomocy przyjaciela, Cyrusa Adamsa, redaktora ds. geograficznych. Cook pokazał mu telegram i wysłuchał, jak wąsaty mężczyzna tłumaczy wiadomość: „Można dołączyć w Montevideo, ale nie zimujemy”.

Rozradowany Cook już o drugiej nad ranem wysłał odpowiedź: **TAK JESTEM GOTÓW DOWODZIĆ***.

Tuż przed ostatecznym wyruszeniem Belgiki w drogę, Cook otrzymał najświeższe instrukcje, zgodnie z którymi miał wejść na pokład w Rio de Janeiro.

Przygotowując się do wyprawy, Cook znalazł czas na rozmowę z dziennikarzem „New York World”, by opowiedzieć mu, czego się spodziewa. „Od lat już” – tłumaczył lekarz – „pozostawałem w korespondencyjnym kontakcie z kapitanem de Gerlache’em”. Co oczywiście było kłamstwem, bo kontakt po raz pierwszy nawiązali ledwie miesiąc wcześniej. Cookowi zależało na przedstawieniu swego uczestnictwa w ekspedycji jako w większym stopniu świadomą decyzję niż akt desperacji, jakim w rzeczywistości ono było – dla niego i dla de Gerlache’a. Po latach dostosowywania się do oczekiwań słuchaczy naginanie prawdy weszło Cookowi w krew.

* YES AM READY TO COMMAND brzmiał telegram w oryginale, lecz nawet biorąc pod uwagę ogromne skróty i specyfikę tej formy komunikacji, trzeba przyznać, że Cook wyraził się dziwnie i niezrozumiale, bo wiedział przecież, że komendantem wyprawy był de Gerlache. Być może miał na myśli – „Tak, jestem gotów oddać się pod pańskie dowództwo” (Yes, I am ready and at your command”). Mimo to treść telegramu do dziś brzmi zagadkowo.

Młody lekarz ogłosił, że do Rio de Janeiro uda się na pokładzie parowca Hevelius wyruszającego z portu w sobotę, czwarte go września. Już o ósmej rano przy moło na Fulton Street zebrał się pokaźny tłum, by pożegnać podróżnika. Znalazły się w nim jego matka i siostra, i spora liczba ciekawskich nowojorczyków, chcących zobaczyć człowieka, który jako pierwszy Amerykanin miał przekroczyć oba koła podbiegunowe. Kobiety i mężczyźni wyciągali szyje i rozglądali się w poszukiwaniu śmiałka, jednak do chwili, gdy statek miał odbijać, Cook się nie pojawił. Dziennikarze poprosili kapitana parowca, by poczekał trochę, a że podróżnik miał być najznamienitszym gościem na pokładzie, oficer zgodził się zostać przy nabrzeżu. Po kilku minutach nie chciał już dłużej zwlekać i Hevelius wyszedł w morze.

Kiedy parowiec był jeszcze w zasięgu wzroku, przesuając się niedaleko Statuy Wolności, do zebranych dotarła wiadomość, jakoby Cook sprawdził rozkład rejsów i uznał, że może wypłynąć później, jeszcze w tym miesiącu, i wciąż zdąży przesiąść się na Belgicę. W rzeczywistości jednak na decyzji lekarza zaważył strach – lecz nie o siebie. Jego narzeczona Anna podupała na zdrowiu i choć żaden z nowojorskich lekarzy nie potrafił wskazać, co jej dolega, Cook podejrzewał gruźlicę. Jako wdowiec nie mógł przemóc się, by zostawić Annę samą, więc czuwał u jej boku, aż po kilku tygodniach jej stan zaczął się poprawiać. Tymczasem Anna, widząc, jak przygnębiająco na jej narzeczonego działa myśl, że Belgica mogłaby ruszyć na podbój Antarktydy bez niego, zapewniała, że czuje się lepiej, i zachęcała, by dłużej nie zwlekał.

I tak w deszczowe i chłodne popołudnie dwudziestego września Cook wszedł na trap i zniknął na pokładzie parowca Cole-ridge, a za nim na statek ruszyła z pozoru niekończąca się procesja bagaży, w skład których wchodziły dwie pary sań, narty, skrzynia z lekarstwami, deski orzesznika z hrabstwa Sullivan i przeszło piętnaście skrzyń ze śniegowcami, książkami, futrami przywiezionymi z Grenlandii, materiałami do wznoszenia namiotów, wyposażeniem sprawdzonym w Arktyce i amerykańską

flagą o wymiarach dziesięć na piętnaście stóp. Zabrakło jednak psów.

Coleridge odbił od nabrzeża i powoli opuścił nowojorski port. W miarę jak Manhattan malał w oddali, Cook czuł, że jego głowę opuszczają również miejskie zmartwienia. Początek wyprawy na lodowy kontynent nie wyglądał tak, jak sobie wymarzył, ale mimo szczątkowej wiedzy na temat de Gerlache'a, jego ludzi czy zamiarów, ani przez chwilę nie żałował podjętej decyzji.

„Antarktyda zawsze była moim największym marzeniem” – zapisał w pamiętniku. – „A początek drogi na nią był wówczas moim wyobrażeniem o szczęściu”.